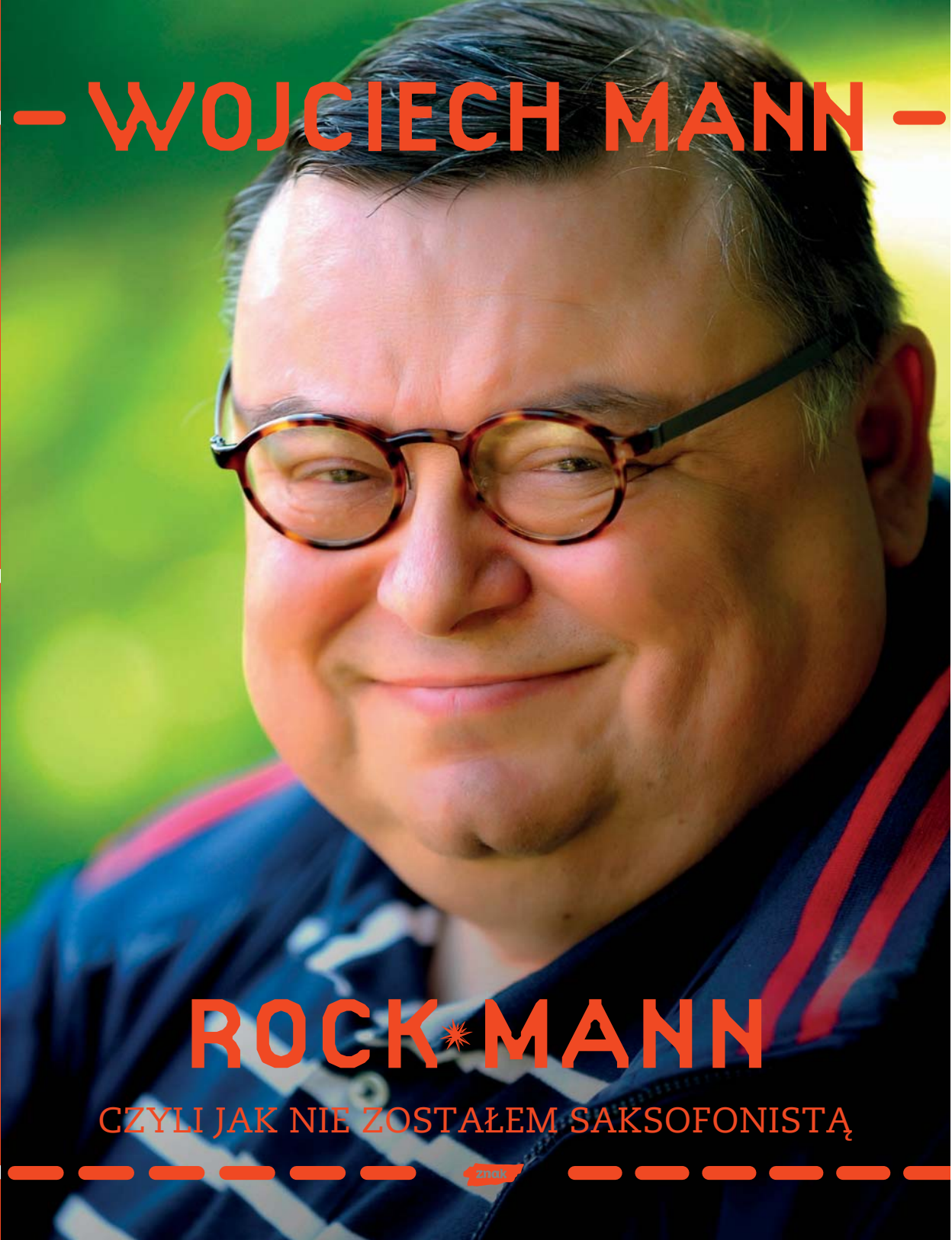

WOJCIECH MANN

ROCK MANN

CZYLI JAK NIE ZOSTAŁEM SAKSOFONISTĄ

znak

WOJCIECH MANN

ROCK MANN

CZYLI JAK NIE ZOSTAŁEM SAKSOFONISTĄ

Wydawnictwo Znak ✷ Kraków 2010

Intro

Książki od najmłodszych lat były dla mnie czymś szczególnym.

Wprowadzały mnie w nurt fascynujących wydarzeń bez ograniczeń, które narzucała rzeczywistość. Książki były lepsze od dzisiejszych agresywnych mediów, pozostawiających tak niewiele miejsca na wyobraźnię. Nic więc dziwnego, że gdy Wydawnictwo w osobie Jerzego Illga zaproponowało mi napisanie książki, porządnie się wystraszyłem. W końcu książki piszą pisarze. Umówiłem się więc sam z sobą, że jeśli nawet opowieść o moim poznawaniu świata muzyki będzie wydrukowana i opatrzona ilustracjami, a może nawet specjalnie zaprojektowaną okładką, to na pewno nie będzie „książką" w moim rozumieniu. Potraktujmy to wydawnictwo jako wspomnienie o tym, jak przez kilka dziesięcioleci żyłem muzyką. To moje życie muzyką było dość pasożytnicze, ponieważ sam jej nie tworzyłem. Przeszedłem zaledwie drogę od słuchania i gapienia się do przekazywania tego, co lubię, innym. Po drodze poznałem wiele sekretów świata rozrywki, rozmawiałem ze znanymi i nieznanymi jego mieszkańcami, nauczyłem się wielu potrzebnych i zupełnie niepotrzebnych rzeczy, ale, co najciekawsze, nigdy nie poczułem znużenia ani przesytu.

Pierwsze radio,
pierwszy gramofon,
pierwsza płyta

Moje pierwsze świadome kontakty z muzyką miały miejsce w latach pięćdziesiątych.

Zawdzięczam je odbiornikowi radiowemu AGA, który otwierał przede mną magiczny świat eteru. Sąsiadka z piętra, niejaka Marysia, próbowała mnie przekonać, że w skrzynce radiowej siedzą małe ludziki i mówią oraz grają na instrumentach. Twierdziła, że wystarczy rozgrzebać palcem tkaninę umieszczoną z przodu odbiornika, aby dostać się do ludzików. Nie wierzyłem jej, ale ziarnko wątpliwości zostało zasiane.

Któregoś wieczora podszedłem do sprawy diametralnie inaczej, niż radziła Marysia, i zdjąłem ostrożnie tylną ściankę. Oczarowała mnie kraina świecących lamp, przewodów i innych nieznanych mi bliżej elementów przypominających tajemnicze miasto nocą. Nierozwiązana pozostała kwestia, czy rzeczywiście w tym tajemniczym mieście mieszkają ludziki.

Pierwsze moje wrażenia estetyczne dotyczące tego, co nadawało Polskie Radio, ograniczały się do takich orkiestr jak ta kierowana przez Feliksa Dzierżanowskiego, Edwarda Ciukszę bądź Jana Cajmera. Rytmy proponowane przez te zespoły, mimo niewątpliwych talentów muzyków i dyrygentów, wydawały mi się nienowoczesne, a do tego podejrzanie silnie lansowane przez Radio. Trzeba przyznać, że orkiestra Cajmera próbowała przeciwstawić się komunistycznej modzie na bezbarwność i ludowość. Swingowali, usiłując przemycić zachodnią muzyczną truciznę na teren Polski. Ten dyrygent i bandleader zniknął jednak z mojego widnokręgu muzycznego. Zawsze dobrze poinformowany wujek Janek przekazał

nam poufną informację, że pan Cajmer uciekł do Izraela ze złotą patelnią. Trochę mnie zdziwiło, dlaczego akurat z patelnią, bardziej logiczne byłoby udanie się w podróż ze złotymi skrzypcami, a w wypadku większej ilości kruszcu – ze złotym fortepianem. Ale wujek Janek chyba wiedział najlepiej.

Muzyka płynąca do mnie z radia była więc mieszanką melodii ludowych i ocalałych z filtra ludowo-komunistycznej estetyki elementów muzyki rozrywkowej. Takie pojęcia jak swing czy jazz były przed 1956 rokiem wyklęte i co odważniejsi muzycy musieli kamuflować swoje prawdziwe zainteresowania muzyczne, aby nie narazić się na nieprzyjemności. Pamiętam również, że jednym z moich ulubionych muzyków był, dziś powiedzielibyśmy, klawiszowiec, niejaki Benon Hardy, grający na „organach kinowych". Do dzisiaj nie wiem, co to są „organy kinowe", ale w każdej chwili jestem w stanie przywołać ich dźwięk. I za każdym razem, kiedy to robię, upewniam się, że były to po prostu niezwykle rzadkie wówczas w Polsce organy Hammonda. Może „Hammond" brzmiał wówczas niesłusznie?

Moje radio AGA wydawało z siebie nie tylko dźwięki muzyczne, ale także słowo. To słowo było przesiąknięte nierozpoznawalną dla mnie wówczas propagandą systemu. Pamiętam szczekliwy głos anonsujący *Falę* 49, która po przełomie przerodziła się w „falę 56". Najdobitniej jednak utkwiła mi w głowie kuriozalna radiowa transmisja ze śmierci Józefa Stalina w 1953 roku. Ociekający żalem głos z radia wieścił coś jakby koniec świata i pamiętam, że ze strachu schowałem się pod stojącą w przedpokoju maszynę do szycia. Na szczęście maszyna mnie ochroniła i koniec świata nie nadszedł.

Wspomniany wujek Janek próbował na swój sposób bronić mnie przed propagandowymi ekscesami radiowymi. Kiedy zapytałem go, co oznacza fragment jednej z audycji, w której tłum ludzi skandował: „Bie-rut, Bie-rut, Bie-rut!", wujek wyjaśnił mi, że po prostu nieuważnie słucham radia i ci ludzie w rzeczywistości krzyczą: „ko-gut, ko-gut, ko-gut!". Dziś wiem, że tylko moja dyskrecja uchroniła wujka Janka przed aresztowaniem.

Ale wróćmy do muzyki. Po 1956 roku moje radio, tak jak i cały kraj, ożyło. Pojawiły się piosenki w żywszych rytmach, Maria Koterbska nieprawomyślnie swingowała, a Natasza Zylska posunęła się tak daleko, że nagrała kompozycję Billa Haleya. Miała ona co prawda polskie słowa, ale muzycznie niebezpiecznie trąciła rock and rollem.

Jeśli chodzi o rock and rolla, to w moich wspomnieniach człowiekiem, który zdecydował się z otwartą przyłbicą zaprezentować go polskim słuchaczom, był niezapomniany odtwórca *Cichej wody* Zbigniew Kurtycz. Jego *Arizona* nie tylko była rock and rollem w warstwie muzycznej, ale też w tekście pojawiało się sformułowanie „rock and roll". Miałem tę płytę. Był to czarny, duży i ciężki singiel, który wymagał odtwarzania z szybkością 78 obrotów na minutę. W tamtych czasach dużo było jeszcze staromodnych czarnych, tłukących się płyt na 78 obrotów. Kiedyś do ich odtworzenia używano nakręcanych korbką gramofonów z metalową igłą.

W latach mojej młodości postęp techniczny spowodował, że otrzymałem w prezencie od rodziców gramofon elektryczny typu deck. W odróżnieniu od karolinki, która miała własny wzmacniacz i przykręcony do pokrywy głośnik, mój deck można było usłyszeć przez radio po włożeniu do odpowiednich dziurek dwóch wtyczek typu bananki. To była dziwna nazwa, ponieważ taka wtyczka to był zwyczajny prosty pręcik/sztyfcik wystający z plastikowej obudowy, a wszystkie inne znane mi bananki były zakrzywione. W tamtych czasach sporo było też innych dziwnych rzeczy, na przykład rocznicę rosyjskiej rewolucji październikowej obchodziło się w listopadzie, więc prosty bananek to przy tym małe miki. Pamiętam również, że rodzina gramofonów, z której pochodził również i mój, miała możliwość odtwarzania płyt w trzech szybkościach: 33 ⅓, 45, 78, przy czym były do wyboru dwie igły oznaczone kolorami czerwonym i zielonym. Pan Kurtycz śpiewał za pomocą igły zielonej.

W związku z tym, że Polskie Radio pomalutku zaczęło prezentować nagrania z importu – i to nie tylko z krajów demokracji ludowej – moja wiedza

na temat muzyki stopniowo się powiększała, a wraz z nią rosła ciekawość. Pamiętam, jak wstrząsające wrażenie zrobiło na mnie pierwsze w życiu wysłuchanie piosenki Louisa Armstronga. Niestety oferta, którą dysponowały sklepy muzyczne i księgarnie – bo płyty wówczas kupowało się w sklepach z instrumentami muzycznymi albo z książkami – nie obejmowała aż tak awangardowych pozycji jak te z muzyką Armstronga. Chociaż nie! Polskie Nagrania czy inny Pronit ośmieliły się wszak wypuścić średniej wielkości płytkę z nagraniami wielkiego Satchmo i wraz z moim ojcem zajeżdżaliśmy tę płytę, wsłuchując się w trąbkę i głos Mistrza (33 ⅓ obrotów na minutę). Takich prezentów rodzima fonografia robiła melomanom niestety bardzo mało.

Nieco później, kiedy już wiedziałem, że muzyka będzie moim poważnym hobby, w sukurs przyszedł mi rachityczny, ale jednak istniejący import płyt. Dopóki nasza władza nie obraziła się na Izrael, można było wyszperać w Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki (protoplasta EMPiK-u) sprowadzane z Izraela płyty z wytwórni, jeśli dobrze pamiętam, Hed Arzi. Dzięki temu importowi i własnej czujności stałem się posiadaczem krążków nagranych przez kwartet The Platters oraz Paula Ankę. Byłem w szóstym niebie. Siódme zarezerwowane było dla oryginalnych amerykańskich i angielskich płyt, ale te przez długie lata zdobywało się nieoficjalnie, sposobami chałupniczymi.

Moją pierwszą prawdziwą amerykańską płytą był singiel Elvisa Presleya. Z jednej strony nagrana na nim była piosenka *Blue Moon*, a z drugiej *Just Because*. Płyta miała tak zwaną dużą dziurę, więc aby ją odtworzyć w sposób właściwy, trzeba było dysponować albo specjalnym krążkiem, który umieszczało się na ośce talerza gramofonu, albo też plastikowymi wkładkami, które umiejętnie wciskało się w otwór płyty. Znałem każdą rysę i każdą literkę na moim Presleyu, a że w chwili kupna płyta była już sporo używana (zapłaciłem za nią pięćdziesiąt złotych), w niedługim czasie od bezustannego odtwarzania z czarnej stała się niemal biała.

Taki stan gramofonowych rarytasów wcale nas jednak nie zniechęcał. Znaliśmy różne sposoby na odmłodzenie naszych płyt, a w wypadkach

skrajnych na spowodowanie przynajmniej jednorazowego odtworzenia, aby – o, wstydzie! – takiego nieboszczyka wepchnąć za jakieś pieniądze innemu naiwniakowi. Dzisiaj winylami zajmują się prawdziwi kolekcjonerzy, którzy są ludźmi na wskroś uczciwymi i obce im są jakiekolwiek niegodne praktyki. Moje niegdysiejsze zabiegi powodujące chwilowe zmartwychwstawanie płyt to już tylko godna napiętnowania historia.

Jak wspomniałem, płyty ostro zgrane nabywały charakterystycznego białawego koloru. W celu uzyskania gwarantującej zainteresowanie kupującego połyskliwej czerni należało część grającą nasmarować czymś tłustym. Nie mogły to być mazie koloryzujące ani silnie zapachowe, gdyż były łatwe do zdemaskowania. Wchodziły w grę bezbarwne wazeliny, a także, w skrajnych wypadkach, masło lub smalec. Po dokładnym rozprowadzeniu powierzchnia płyty błyszczała się jak psu oczy i robiła wrażenie nieużywanej. Dodam, że z tłuszczami organicznymi należało postępować ostrożnie, gdyż nie do wszystkiego się nadawały.

Boleśnie przekonał się o tym mój znajomy, który nierozważnie pożyczył mi drogocenny magnetofon szpulowy marki wschodnioniemieckiej. Magnetofon ten miałem na krótko, więc używałem go intensywnie. Jego niedoskonała konstrukcja spowodowała, że zaczął lekko klinować na kołkach prowadzących. Muzyka brzmiała fałszywie, jakby nierówno, co mi się zdecydowanie nie podobało. Chcąc przywrócić aparaturze zwinność, dość dokładnie wysmarowałem wszystkie części ruchome masłem eksportowym. Niestety, właśnie dzięki ruchowi nasmarowanych części i generowanemu przy okazji tarciu, masło pod wpływem temperatury trochę się zwęgliło. Ruchome części przestały się ruszać i nie było już słychać żadnej muzyki.

Wróćmy jednak do płyt. Lśniący album mógł zwieść amatora, ale ci bardziej dociekliwi chcieli jeszcze posłuchać, czy płyta dobrze gra. Był sposób pozwalający na jednorazowe w miarę przyzwoite jej odtworzenie. Otóż na moment przed położeniem płyty na talerzu gramofonu należało lekko pociągnąć jej powierzchnię wodą. W jakiś magiczny sposób

ha dwa o eliminowało szumy i trzaski, tworząc złudzenie, że mamy do czynienia z prawie nówką.

Z płytami wygiętymi postępowało się inaczej. Barbarzyńcy usiłowali prasować je żelazkiem. Najczęściej kończyło się to zaprasowaniem rowków i było po balu. Nieco większe szanse dawało włożenie winyla między dwie szyby i pozostawienie go w nasłonecznionym miejscu pod baczną kontrolą. Tym sposobem udało mi się naprostować jednego Cliffa Richarda, który przedtem leżał trochę za blisko kaloryfera.

Doskonale pamiętam inny, też przejściowo należący do mnie, longplay Pata Boone'a, który był w tak złym stanie, że po umieszczeniu ramienia gramofonu na brzegu ramię owo zjeżdżało natychmiast do nalepki, nie odtwarzając ani jednej nutki. Z dumą mogę powiedzieć, że sprzedałem tę płytę, a nabywca dzięki niektórym wyżej wspomnianym zabiegom wysłuchał z zachwytem wszystkich nagranych na niej piosenek pierwszy i ostatni raz w życiu.

Inną sensację fonograficzną miłośnicy muzyki zawdzięczali Fidelowi Castro. Po obaleniu upiornej dyktatury złych ludzi lud kubański wraz z władzą przejął między innymi tamtejszą tłocznię płyt. Tak się szczęśliwe złożyło, że tłocznia owa zachowała niezniszczone matryce kubańskiej edycji znakomitego longplaya Elvisa Presleya *Elvis Is Back*. Co prawda jakość okładki była o wiele marniejsza od oryginału, sama płyta gorzej wytłoczona od amerykańskiego pierwowzoru, a tytuł zmieniony na *Elvis regresa*, jednak był to prawdziwy rarytas. W wyniku rozliczeń między Polską a Kubą obok pryszczatych pastewnych pomarańczy, papierosów Ligeros i rumu Havana nasz rynek otrzymał pewną partię *Regresy*. Wobec czarnorynkowych cen zachodnich płyt długogrających, które oscylowały w granicach od trzystu do pięciuset złotych, państwowa cena tego wydawnictwa, chyba około złotych stu, była rewelacją.

Elvis był zresztą jednym z moich ulubionych wykonawców, choć w czasach kiedy zacząłem się fascynować muzyką, był już troszeczkę *démodé*. Gwiazdy rock and rolla lat pięćdziesiątych oddawały już pole młodym Brytyjczykom z gitarami. Ale Elvis, w swoim wcześniejszym, nieotyłym

Marzec 1958 – dziewczęta pokazują Elvisowi datę rozpoczęcia jego służby wojskowej

i niezłotemhaftowanym wcieleniu, niezmiennie czarował mnie swoim głosem. A przy piosence *Heartbreak Hotel* chyba nawet upodobniałem się do Presleya. Dostawałem magicznych oczu, przez trzy minuty biła ze mnie przepełniona niezwykłymi fluidami energia i najbardziej niedostępne kobiety wyraźnie wówczas słabły. Niestety, gdy Elvis przestawał śpiewać, czar pryskał.

Moja wielka miłość do muzyki zawsze miała raczej charakter bierny. Historia światowej kultury powinna jednak odnotować pewien incydent, który miał miejsce w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Otóż zupełnie

niespodziewanie zechciałem przejść ze stanu biernego w czynny. Śpiew raczej nie wchodził w grę. Co prawda na lekcjach śpiewu w szkole nauczyciel wkładał wiele wysiłku, aby uzyskać ode mnie czysty ton, stając tuż obok mnie ze skrzypcami, ale podejrzewam, że nawet gdyby otaczała nas wielka orkiestra symfoniczna, to popsułbym jej szyki. Dygresyjnie powiem, że w końcu zaliczyłem ten cholerny śpiew, wykonując brawurowo ludową pieśń *Zielony mosteczek*. Stres był tak potworny, że do dziś pamiętam słowa, choć ich nie rozumiem. Zaczynało się tak:

Zielony mosteczek ugina się,
Zielony mosteczek ugina się,
Trawka na nim rośnie, nie sieka się,
Trawka na nim rośnie, nie sieka się.

Nie bardzo wiedziałem, czemu trawka się nie sieka, ale śpiewałem zapamiętale dalej:

Gdybym ja ten mostek arendował,
Tobym go wyplenił, wytręgował.

W życiu niczego nie tręgowałem, bo nie wiem, jak to się robi… Potem jeszcze chyba było:

Czerwone i białe róże sadził,
I ciebie, dziewczyno, odprowadził,
Odprowadziłbym cię aż do lasa,
A potem zawołał hop sa sa sa.

Najlepiej wychodziło mi „hop sa sa sa", ale to i tak nie zmieniło mojej krótkiej i nieudanej historii jako wokalisty.

Potem przyszedł saksofon. Saksofon był dla mnie instrumentem szalenie męskim i trochę kosmicznym. Zarówno dźwięk (szczególnie tenorowy),

jak i liczba klapek oraz połysk imponowały mi niesłychanie. Czułem, że gdybym wystąpił publicznie z saksofonem, nie oparłaby mi się żadna kobieta. Niestety w tamtych latach podaż saksofonów była bardzo niewielka, a ich cena prohibicyjna.

Naturalną koleją rzeczy pomyślałem o gitarze. Mama, mimo sporej wiedzy na temat muzykalności swego syna, postanowiła zaryzykować i wyciągnąwszy z bieliźniarki odłożone na czarną godzinę pięćset złotych, kupiła mi gitarę akustyczną krajowej produkcji oraz stosowny podręcznik. Podręcznik był za gruby, więc szybko z niego zrezygnowałem. Zacząłem ćwiczyć prostsze melodie ze słuchu, co nie było łatwe, gdyż nie umiałem tej gitary nastroić. Szczytowym osiągnięciem było zagranie przeze mnie na jednej strunie piosenki *Mój pierwszy bal* (oczywiście tylko refrenu). A także paru tak zwanych chwytów, które miały tajemnicze nazwy typu C-7 albo G-8. Do dzisiaj nie wiem, o co chodzi z tymi nazwami. Grałem jednak stosunkowo niedługo, gdyż instrument był dość toporny, odległość strun od gryfu ogromna, a co za tym idzie, moje chłopięce paluszki (głównie lewa rączka) były nieźle pokiereszowane i zbolałe. Gitara wylądowała w wersalce razem z nadziejami na wielką karierę. Clapton mógł spokojnie się rozwijać.

Uczucie ulgi, że nie muszę ćwiczyć ani śpiewać, towarzyszyło mi niestety dość krótko. Mama, nie chcąc, żebym się stoczył, szukała dla mnie różnych zajęć dodatkowych. Jednym z pomysłów było zapisanie mnie do harcerskiego zespołu artystycznego Gawęda. Gawęda robiła dokładnie wszystko to, czego ja nie znosiłem i nie umiałem robić: tańczyła, grała i śpiewała. Szefował jej druh Andrzej Kieruzalski, człowiek wielu talentów i wielkiej pasji. Uczył zapatrzonych w niego podopiecznych innej niż panująca wokół estetyki. Wszystko było bardziej kolorowe, pogodne i wymykające się socjalistycznej bylejakości. Godny podziwu miał nawet odręczny podpis – przypominał pierwiastek (√) i tak mi imponował, że przez jeden sezon też się podpisywałem pierwiastkiem, tyle że dużo bardziej koślawym.

W Gawędzie był obok harcerstwa i teatr lalek, i śpiew, i taniec, i dużo bardzo ładnych dziewczyn, a także prawdziwe występy przed publicznością.

Mimo iż sam Kieruzalski grał na obciachowym akordeonie, to nie zwalczał rock and rolla. Podczas naszych występów najbardziej przeżywałem instrumentalną wersję prawdziwego przeboju Paula Anki *You Are My Destiny*, graną przejmująco na trąbce przez druha Włodka. Poddany testowi wokalnemu przez Andrzeja Kieruzalskiego, już po paru minutach zostałem przeniesiony do ostatnich rzędów chóru z prośbą, żebym raczej tylko otwierał usta i nie męczył się śpiewem. Podobnie było z moim udziałem w ciekawych układach tanecznych. Mimo braku efektownych partii solowych atmosfera panująca w zespole spowodowała, że spędziłem w Gawędzie kilka przyjemnych lat jako *quasi*-harcerz i element „tłumu scenicznego".

Wziąłem nawet udział w profesjonalnej sesji fotograficznej, dzięki której mogłem stać się międzynarodową gwiazdą. Autorem zdjęć był późniejszy słynny fotograf Marek A. Karewicz. Marek stał się mistrzem fotografowania muzyki, ze szczególnym uwzględnieniem jazzu i rocka. Uwieczniał na swoich zdjęciach największe światowe gwiazdy. Ponadto projektował setki

Efekt karygodnych manipulacji Karewicza, czyli ja z klarnetem. Dzisiaj wystarczyłoby pomajstrować w Photoshopie i już. Dopiero bym był *cool*! A tak wstyd na zawsze poszedł w świat

świetnych okładek płytowych, między innymi tę zespołu Breakout, na której Tadeusz Nalepa idzie, trzymając za rękę swego małego synka. Niestety, wszelkie artystyczne zasługi Karewicza bledną przy krzywdzie, którą wyrządził mi, aranżując wspomnianą sesję. Liczyłem, że choćby na zdjęciu będę mógł wystąpić z moim wymarzonym saksofonem. Karewiczowi najwyraźniej coś się nie komponowało, bo pozbawił mnie tego przepięknego rekwizytu i wetknął mi do ręki (co za kompromitacja!) klarnet. Ani moje kupione na ciuchach oryginalne amerykańskie jeansy, ani wówczas jeszcze gibka figura typowego saksofonisty nie zrekompensowały wstydu wynikającego z klarnetu. Powiedzmy sobie szczerze: Karewicz był złym człowiekiem.

Z racji przynależności do zespołu odbyłem z nim coś, co można nawet nazwać trasą koncertową po Polsce. Była ona niezwykle oryginalna, ponieważ środkiem transportu był wynajęty wagon kolejowy. Zależnie od zaplanowanego w danym dniu kierunku doczepiany był do odpowiedniego składu i dowoził nas bezproblemowo do miejsca przeznaczenia. Nie będę ukrywał – ten wagon to był wagon towarowy, więc daleko mu było do Orient Expressu. Spaliśmy na składanych łóżkach, myliśmy się pod pompą na torach albo – słowo honoru! – w prawdziwej kolejowej łaźni z witkami do smagania, bo na taką gdzieś natrafiliśmy. Mimo skromnych warunków zabawa była doskonała i pełna przygód. A ile było emocji, gdy kontrabasista druh Adam bardzo silnie dał w dziób podpitemu tubylcowi, który przystawiał się namolnie do jednej z naszych dziewczyn!

Od takich wyjazdów atrakcyjniejsze były tylko z rzadka zdarzające się w tamtych czasach wypady zagraniczne, niektóre nawet do drugiej strefy płatniczej – tak władza ludowa nazywała kraje, w których żyło się normalnie. Niestety, na żaden nie udało mi się już załapać. Nie pojechałem za granicę, ale za to w Gawędzie nauczyłem się palić papierosy. Konkretnie: dość obrzydliwe mentolowe zefiry. Było mi po nich jeszcze bardziej niedobrze niż po normalnych. Miało to miejsce w okolicach toalety męskiej w Pałacu Młodzieży PKiN. Mógłbym nawet podać nazwiska druhów, którzy pytali mnie, czy się boję zaciągnąć. Bałem się nie tyle samego zaciągania, ile zawartej w tytoniu mentolowości. Jak głosiła szeroko

rozpowszechniana plotka, papierosy mentolowe fatalnie wpływały na męską potencję, a nie ukrywam, że bardzo mi na niej zależało.

Pod koniec pobytu w tej artystycznej drużynie harcerskiej poza umiejętnością palenia zdobyłem jeszcze trzy inne sprawności: lalkarza, kuchcika i (nie mam pojęcia, jak do tego doszło) lekkiej stopy. Mimo mojego zainteresowania piosenką nie zdobyłem żadnej sprawności związanej z muzyką. Zostało mi tylko zdjęcie z klarnetem.

Pięć odbiorników radiowych mego życia

1. Wspomniana w tekście **AGA** na szwedzkiej licencji. Dzięki niej po raz pierwszy usłyszałem Radio Luxembourg.

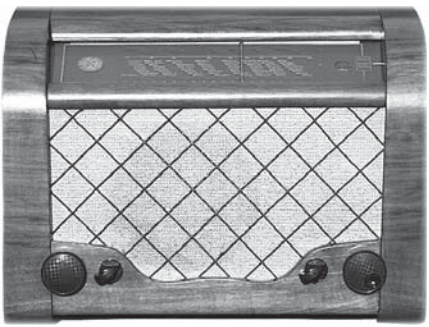

2. Szarotka – cud polskiej (a trochę i niepolskiej, bo licencja) techniki lat pięćdziesiątych. Przenośne lampowe radyjko, które moja Mama w napadzie urlopowego szału zakupowego nabyła za gotówkę podczas zimowiska w Zakopanem. Szarotka jest przyczyną, dla której przestałem jeździć na nartach. Bałem się, że mi wpadnie w śnieg.

3. Tranzystorowe radio Koliber (wczesne lata sześćdziesiąte) raczej piszczało, niż grało, ale dało się nosić w ręku na spacerze, podkreślając światowość noszącego. Robiło duże wrażenie na deptakach całego kraju. Człowiek niosący radio był raczej *cool*, w przeciwieństwie do gości, którzy szli z dziewczynami i nieśli im torebki.

4. Radio Karioka. Moja duma! Duże pudło, gałki, klawisze, trzy (!) głośniki i UKF. Marzenie! Gdy już się bardzo zestarzało, zrobiłem z niego kolumnę głośnikową (przypominam: trzy głośniki).

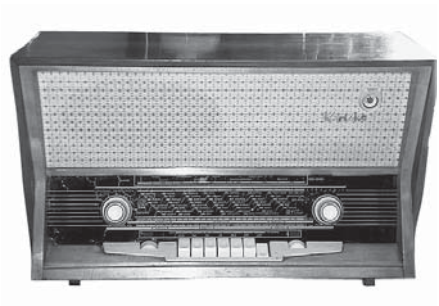

5. Wtajemniczeni wiedzą, o co chodzi. Wieść niosła się po kraju, że mimo nieprzyjemnego radzieckiego rodowodu produkowane na Litwie **radio Spidola** rewelacyjnie odbierało audycje Wolnej Europy, omijając szczycące się takim samym rodowodem urządzenia zagłuszające. Zawsze było wiadomo, że swój pozna swego.

Wojciech Mann po raz pierwszy opowiada o swej młodości, przygodach z muzyką i muzykami oraz o tym, dlaczego nie został saksofonistą.

Jakimi metodami Wojciech Mann odmładzał kompletnie zajechane winyle?
W jaki sposób grupie nastoletnich zapaleńców udało się ściągnąć do szarego PRL-u samych Rolling Stonesów?
Czy w Warszawie można było dostać *coke*?
I jakie to uczucie zaśpiewać ze Steviem Wonderem przed wielotysięczną widownią? Zwłaszcza jeśli największym sukcesem wokalnym w karierze Wojciecha Manna było wcześniej solowe wykonanie pieśni *Zielony mosteczek* na lekcji śpiewu.
W tej pełnej humoru i nostalgii książce znajdziemy barwne opowieści o tym, co działo się za sceną wielkich festiwali i słynnych koncertów, dowiemy się, jak w Polsce przebiegały wizyty gwiazd rocka i gigantów światowego jazzu oraz jak wyglądały pierwsze kroki autora w radiowej Trójce. Wojciech Mann przenosi nas w niezwykłe, pionierskie dla rock and rolla czasy – kiedy słuchało się Radia Luxembourg, grupa The Animals bawiła się na warszawskiej prywatce, a sprzęt podczas koncertów podłączano do prądu za pomocą zapałek.

Fotografia autora na okładce: Waldemar Kompała

TVP 2

Trójka POLSKIE RADIO

empik.com

www.znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

ISBN 978-83-240-1459-0
9 788324 014590

Cena detal. 39,90 zł